

WYWIAD Z DOC. DR HAB. HANNĄ WIĘCKOWSKĄ
(przeprowadziła Zofia Sulgostowska w kwietniu 2011 r.)

ZS: Interesuje mnie Twoja droga do archeologii, jako reprezentantki pierwszych roczników studiujących po 2. wojnie światowej.

HW: Był rok 1949. W Krośnie na Podkarpaciu, w siedzibie Kopalnictwa Naftowego wybuchła awantura. Z Warszawy zjawił się prof. Ludwik Sawicki, dyrektor Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie, aby zaprotestować w dyrekcji tegoż Kopalnictwa przeciwko dewastacji wczesnośredniowiecznego grodziska w Wietrznie (okolice Bóbrki, znane z pierwszej na świecie kopalni ropy naftowej), na którym ulokowano szyb wiertniczy. W przerwach na regenerację słabnących sił protagonistów prof. L. Sawicki wdał się w pogawędkę ze mną (skromną siłą biurową) na temat uroków odkrywania skarbów pradziejowych, ukrytych w ziemi, a czekających na badaczy. Miał na myśli przede wszystkim swoją specjalność, paleolit, którą to nazwę po raz pierwszy zakodowałam w swej pamięci.

Propozycja padła na podatny grunt. Zamiłowanie do starożytności wyniosłam z rodzinnego domu i ze szkoły. Możliwość pracy w Państwowym Muzeum Archeologicznym w Warszawie, równoległe z nauką, dodała mi animuszu i tak oto znalazłam się w stolicy, porzuciwszy odważnie swą małą stabilizację na prowincji.

ZS: Jaki był przebieg ówczesnych studiów archeologicznych na Uniwersytecie Warszawskim?

HW: Skromne i sfeminizowane było grono adeptów łaknących tej wiedzy. Mój pierwszy rocznik uchodził za wyjątkowo liczny – było nas chyba dziesięcioro, podczas gdy starsze lata miały po jednym reprezentancie, albo wcale. Były to studia czteroletnie, które kończyły się magisterium. Zajęcia związane z archeologią odbywaliśmy wspólnie ze starszymi rocznikami. Katedrą Archeologii Polski kierował prof. Włodzimierz Antoniewicz. Zachowałam w pamięci stresujący wymóg profesora obowiązkowego wygłaszania referatów i zabierania głosu w dyskusji po każdym z nich. Trema powodowała, że głowa niekiedy zbyt wolno kojarzyła i bywało, że szeptem wspomagał mnie uczynny kolega Staś Manturzewski, prawie już magister, a późniejszy socjolog.

Naszą grupę wzmacniało licznie parę koleżanek z historii zainteresowanych wczesnym średniowieczem. Większość młodzieży studiowała już przepisowo, bez wojennych strat edukacyjnych, ale niektórzy (w tym ja) to były nieco opóźnione „starszaki”. Na niektóre zajęcia przychodzili też do nas pojedynczy panowie etnologowie-maruderzy, którzy nie zmieścili się w corocznych widełkach swoich studiów i musieli „nadganiać”. Imponowali mi wyrobieniem naukowym i ciekawą specjalizacją (m.in. Indianie!). W latach 1949–1953 zarabiałam na życie w Państwowym Muzeum Archeologicznym w Warszawie, a potem w instytucjach geologicznych, w randze młodszego i starszego asystenta, idąc w ślady za swoim guru prof. Sawickim, aż po zakotwiczenie się na resztę życia zawodowego we właśnie utworzonym w 1953 r. Instytucie Historii Kultury Materialnej (dalej: IHKM, obecnie Instytut Archeologii i Etnologii) Polskiej Akademii Nauk.

ZS: Gdzie w zrujnowanej przez wojnę Warszawie odbywały się zajęcia? Jakie były podstawy nauczania w czasie, gdy nie istniały podręczniki, a i piśmiennictwo archeologiczne nie było zbyt obfite?

HW: Katedra zajmowała kilka pokoi na terenie Uniwersytetu na Krakowskim Przedmieściu, w budynku porektorskim, gdzie w latach 1817–1827 mieszkała rodzina Fryderyka Chopina. Istniały już nieliczne, przedwojenne opracowania polskie typu podręcznikowego autorstwa Włodzimierza Antoniewicza, Konrada Jażdżewskiego oraz Józefa Kostrzewskiego. Ponadto korzystaliśmy z lektur obcojęzycznych autorów, jak Hermann Schwabedissen czy Jan Filip. Jednak podstawą naszej edukacji były głównie wykłady, ilustrowane licznymi przezroczami oraz rycinami rzutowanymi z epidiaskopu. Sprzęt ten obsługiwał pan Franciszek – laborant, który wykazywał szczególną predylekcję do wyświetlania ilustracji „do góry nogami”.

ZS: Kto jeszcze z Twojego rocznika uprawiał w przyszłości zawód archeologa?

HW: W tym czasie brak było wykwalifikowanych archeologów, więc prawie wszyscy absolwenci z tytułem magistra znaleźli zatrudnienie w różnych instytucjach archeologicznych w Warszawie. Tu pracowali Danuta Rauhut, Sławomira Ciepela, Teresa Hildt-Węgrzynowicz, Irena Ostolska-Górska, Halina Zięcik-Różańska oraz Witold Bender i Krzysztof Dąbrowski. Poza Warszawę wyjechali Marta Młynarska-Kaletynowa, do Wrocławia, oraz Józef Janowski do Krosna. Zasililiśmy zatem nieliczną grupę koleżeństwa z cenzusami przedwojennymi lub uzyskanymi tuż po wojnie, wśród których byli Maria Gądzikiewicz, Alina Kietlińska, Krystyna Musianowicz, Zofia Wartołowska oraz Jerzy Antoniewicz – bratanek prof. Włodzimierza Antoniewicza oraz Marian Gozdowski. Ponieważ w trakcie naszych studiów oni prowadzili już samodzielne wykopaliska i edukowali nas, praktykantów, darzyliśmy ich zatem należytym respektem.

ZS: Które osoby wywarły na Ciebie największy wpływ naukowy?

HW: Wspomniany na początku prof. Ludwik Sawicki, pod którego okiem przebiegały moje pierwsze wyczyny w zakresie starszej i środkowej epoki kamienia.

Praca w Zakładzie Prehistorii Czwartorzędu Muzeum Ziemi Polskiej Akademii Nauk, placówce kierowanej przez prof. L. Sawickiego, który miał siedzibę w gmachu przy ul. Śniadeckich 8, zmierzała w dwóch kierunkach. Pierwszy to było porządkowanie – katalogowanie wielkich kolekcji, które ów Zakład miał pod swoją opieką. Asystenci nazywali tę czynność „wielkie porządki”; skrót „w.p.” to pomysł kolegi S. Manturzewskiego. Pamiętam groźną burzę, gdy Szef odkrył, że w ten lakoniczny sposób dzień po dniu uwiecznialiśmy naszą pracę w obowiązkowo prowadzonych dziennikach czynności, podlegających kontroli. Monotonia tej pracy, na długim, ciemnym korytarzu, gdzie stały przepaściste szafy gromadzące zbiory prof. L. Sawickiego, usprawiedliwiała w oczach asystentów przerywniki, np. w postaci gry w okręty. Drugi kierunek były to wyjazdy w teren, na badania. Oprócz wykopalisk odbywaliśmy również wyprawy w okolice Warszawy na wydmy, przebogate w ślady obozowisk późnoplejstoceniowego i wczesnoholoceniowego wieku.

Drugi etap i usamodzielnienie zawdzięczam równie wybitnemu uczonemu prof. Stefanowi Krukowskiemu, który miał też niezwykłą umiejętność zdobywania pieniędzy na badania terenowe i odwagę dopuszczania młodych jako „kierowników polnych” do prac wykopaliskowych oraz powierzanie im materiałów z tych badań do własnych opracowań.

ZS: Wydmy nad rzeczką Świder – do których Ludwik Sawicki i Stefan Krukowski rościli sobie prawo wyłączności jako badacze – były świadkami ich dramatycznej rywalizacji. Czytałam we wspomnieniach naocznego świadka, prof. Zofii Podkowińskiej, że w trakcie niespodzianego spotkania w latach trzydziestych XX w. obaj wyciągnęli broń palną i tylko rozjemstwo Ireny Sawickiej uspokoiło ich wzburzone emocje.

W latach pięćdziesiątych XX w. badania były nadal ukierunkowane na paleolit, czego wyrazem była nazwa Zakład Paleolitu IHKM PAN. Co było powodem podjęcia przez Ciebie pionierskich w Polsce badań nad mezolitem w czasie, kiedy stosowano jeszcze klasyfikację i terminologię zaczerpniętą z literatury francuskiej – w użyciu był np. termin „tardenuasien”.

HW: Profesorowie Ludwik Sawicki i Stefan Krukowski chociaż różnili się zainteresowaniami to jednakowo szeroko traktowali przedmiot działań archeologii z uwzględnieniem roli

nauk przyrodniczych, zwłaszcza geologii i paleontologii. Obaj mieli już w europejskiej nauce ugruntowaną pozycję we wstępnym ustaleniu chronologii, stratygrafii i zróżnicowań kulturowych górnego paleolitu, ale materiały mezolityczne czekały na bliższe zainteresowanie. To zwłaszcza, a w moim przypadku wspomniany awans na „kierownika polnego” u prof. Stefana Krukowskiego w kampanii Dębe, która zaowocowała wydobyciem ciekawych i nowych zbiorów, spowodowało moje zainteresowanie mezolitem.

ZS: Mezolit jest zjawiskiem szeroko rozprzestrzenionym geograficznie. Przybliż nam historię swoich studiów nad tym okresem poza Polską i kontaktów ze światem.

HW: Miałam szczęście, gdyż w czasie pracy uchyliło się przede mną okno na świat w postaci wyjazdów zagranicznych. I tak pierwsza była wyprawa do ówczesnej Czechosłowacji (1957 r.), gdzie latem wzięłam udział w wykopaliskach sławnego lessowego stanowiska górnopaleolitycznego w Pavlovie. Praktyka objęła całokształt kontaktów koleżeńskich, wraz z wieczornymi spotkaniami w sklepie, tj. piwnicy pełnej beczek leżakującego wina (Morawy to kraj winnic), gdzie odbywały się dyskusje, popisy wokalne i degustacja.

W ramach zbierania materiałów do doktoratu otrzymałam z kolei dwumiesięczne stypendium do Niemieckiej Republiki Demokratycznej (1969/1970 r.). Peregrynowałam tam po muzeach całego kraju (w Poczdamie z widokiem na strefę graniczną z psami i strażą) i podobne 3-miesięczne stypendium do Związku Socjalistycznych Republik Rad (1973 r.). Studiowałam wówczas kolekcje w Moskwie, Leningradzie, republikach nadbałtyckich – Litwie, Łotwie i Estonii, oraz na Białorusi. Czy to nie ciekawe, że te akurat kraje wicher historii w niedalekiej przyszłości poukładał sprawiedliwie wedle historyczno-geograficznych parametrów? Tak jak sobie marzyli wówczas nasi tamtejsi koledzy.

Jednak prawdziwą przygodą były dla mnie jedenastokrotne wyjazdy do Afryki. Tu moja wielka wdzięczność dla kierowników Zakładu: profesorów Waldemara Chmielewskiego i Romualda Schilda za stosowne poparcie mojej kandydatury oraz dla sponsorów: prof. prof. Joela L. Shintera i Freda Wendorfa za akceptację tego wyboru. I tak, w ramach polsko-amerykańskiej Combined Prehistoric Expedition pojechałam do Sudanu (1967 r.), do Etiopii – jeszcze za panowania cesarza Hajle Selasje (1972 i 1973 r.), oraz do Egiptu (lata 1977–1984). Wszystkie ekspedycje działały w okresie tamtejszej zimy (styczeń-marzec), na terenach dziś pustynnych, a w pradziejach tętniących życiem i przyjaznych ludziom. Moje oczarowanie to z jednej strony badania – ciekawe wyniki, nauka, kontakty z wieloma ludźmi, z drugiej piękno tych krain, nierealne scenariusze dni i nocy trudne do wyrażenia w słowach. Nie odmówiłam sobie wycieczek krajoznawczych, zwiedzania miast, a także zakupów pamiątek – pięknych wytworów miejscowego rękodzieła, m.in. tarczy i żelaznych płaszczy dzirytyw. To był taki bajkowy, nierzeczywisty okres mojej archeologicznej działalności, za co zawsze składam dzięki tym, co mi to umożliwili.

ZS: W Egipcie pozostawiłaś po sobie pamięć i żyjesz w opowieściach kolejnego pokolenia Beduinów osiadłych w okolicach Esny, z których są rekrutowani pracownicy ekspedycji. Piętnaście lat po Twoim ostatnim pobycie, kiedy zastępowałam Halinkę Królik, wspominali serdecznie Haniuę – mądrą i piękną. Podzielałam Twoje zauroczenie pustynią, po pięciu tygodniach spędzonych pod namiotem na Pustyni Zachodniej. Jakie inne badania terenowe pozostały w Twoich wspomnieniach?

HW: Udział w wykopaliskach przynosił mi oprócz nowych doświadczeń wiele nieznanych wrażeń. Zanim się usamodzielniałam w zakresie badań terenowych dojrzywałam uczestnicząc w badaniach prowadzonych przez Marię i Waldemara Chmielewskich w Witowie koło Łęczycy oraz w jaskini Nietoperzowej w Ojcowie kopanej przez Waldemara Chmielewskiego. Stanowiska te dzieliła nie tylko znaczna odległość. Witów – górnopaleolityczne stanowisko wydmowe badane było w licznej grupie i w romantycznej scenarii: las, bagna, namioty, izolacja od świata zewnętrznego, ale za to była to namiastka warunków życia naszych przodków z epoki kamienia. W zasięgu były grzyby, ryby łowione systemem dzielenia tamami z błota i wodorostów bajora na



Ryc. 1. Hanna Więckowska (z lewej) i Maria Marczak w trakcie archeologicznej kampanii Dębe w 1958 r.

Archiwum M. Marczak

mniejsze działki, mącenia przez nas wody nogami i wyciągania podduszonych ryb koszykami (podrywka). Były to udane połowy, z których smaczne kolacje przyrządzał nieoceniony kucharz i kierowca z Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi pan Karbowiak. A wokół nocne życie lasu, rykowiska jeleni i inne uroki, jak śpiewy przy ognisku.

A jaskinia? Obiekt wielokulturowy, ciemny, wykop szeroki i głęboki na kilka metrów z namuliskiem warstwowanym niby sękacz. Oprócz robotników tylko Waldemar Chmielewski i ja, ascetyczne warunki bytowe, a wieczorami rysowanie skomplikowanych profili geologicznych przy lampach karbidowych i subtelny wyścig między nami na zaangażowanie w pracę. Mój pobyt tam był krótki, nie pomnę ile spędziłam tam dni w roli pracoholiczki.

ZS: Jesteś uznanym badaczem stanowisk z epoki kamienia, autorką kilkadziesiątu kluczowych dla polskiego mezolitu opracowań źródłowych i syntetycznych, uczyłaś studentów archeologii i geologii. Które z tych działań przyniosły Ci największą satysfakcję zawodową?

HW: Myślę, że kampania Dębe, ratownicze badania prowadzone na Mazowszu w latach 1958–1963. Były to badania poprzedzające budowę planowanego tam zbiornika retencyjnego na Narwi. Wspólnie ze mną brali w nich udział koledzy pracujący w tym samym Zakładzie Paleolitu IHKM PAN – Maria Marczak (ryc. 1) oraz Romuald Schild. Zaskakująca liczba odkrywanych stanowisk oraz ich różnorodność chronologiczna (od końca paleolitu po wczesne średniowiecze) ukazała wstępny zarys obrazu zaludnienia tych ziem. To wówczas m.in. Maria Marczakowa odkryła znane wczesnomezolityczne stanowisko Stawinoga. Inne wydobyte tam zespoły krzemienne też ułożyły się w obiecującą mozaikę. Tylko od dalszych badań zależy sensowność zaproponowanych rozwiązań klasyfikacji.

ZS: W wyniku tych prac wraz z Marylką Marczakową stworzyłyście podstawy klasyfikacji polskiego mezolitu (ryc. 2). Wspomniałaś o przewadze kobiet na studiach, która nadal istnieje. Dziś jako samodzielne badaczki stanowią one do 30% tej grupy, wśród wybieralnego grona



Ryc. 2. Hanna Więckowska podczas obrad I Sympozjum Paleolitycznego w Krakowie w 1967 r. Pierwszy rząd, od lewej strony: Antoni Talar, Maria Marczak, Hanna Więckowska, Zbigniew Bagniewski, Władysław Morawski; drugi rząd: NN; trzeci rząd: NN, Andrzej Prinke, NN.

Archiwum M. Marczak

członków Komitetu Nauk Pra- i Protohistorycznych mniej niż 10%, ale wśród posłów pierwszego Sejmu II Rzeczypospolitej stanowiły zaledwie 2%. Czy płeć oraz działanie w realiach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ograniczyły Twoje dokonania?

HW: We wczesnych latach powojennych kadra archeologów była zdominowana przez tzw. płeć piękną, która nie była dyskryminowana finansowo czy prestiżowo. Charakterystyczne i interesujące było dla mnie to, że również w Egipcie nasi muzułmańscy współpracownicy w pełni akceptowali nas – kobiety jako swoich szefów, widocznie uznając nasze kompetencje zawodowe (ryc. 3). Byłyśmy zapraszane wraz z naszymi kolegami do ich namiotów na herbatę, ale o tym jak traktowali w domu swoje kobiety nie miałam okazji się przekonać.

Natomiast analizując warunki pracy w czasach PRL uważam, że nasz zawód, uchodzący za taki „oderwany od realnego życia” i trochę hobbystyczny nie był specjalnie nękanym od strony ideologicznej, a grupa zaangażowana w działalność partyjną była bardzo skromna. Swoją „postępowość” można było ewentualnie zasygnalizować w drukowanych pracach stosownym cytatem z nieomylnych teoretyków-omnibusów znających i wykładających „jedynie słuszną” wizję dziejów. Nie był to jednak wymóg niezbędny w trakcie moich studiów ani w późniejszej pracy zawodowej.

Najbardziej dotkliwie odczuwałam trudności związane z indywidualnym wyjazdem za granicę poza obszar tzw. demoludów w latach poprzedzających wybory w roku 1989: niepewność otrzymania paszportu oraz upokarzające warunki finansowe (choć po roku 1956 istniała możliwość zakupu przydziałowych 5 \$ na głowę).

ZS: Jesteś osobą spełnioną w życiu zawodowym, które przyniosło Ci dużo osobistej satysfakcji oraz uznania środowiska archeologicznego w kraju i zagranicą. Czy ponownie wybrałabyś zawód archeologa?

HW: Myślę, że stojąc dziś przed decyzją, jaki obrać zawód, byłabym raczej w kłopotcie i chyba nie wybrałabym ponownie archeologii. Od tamtych lat, gdy stawialiśmy w tej dziedzinie pierwsze



Ryc. 3. Hanna Więckowska z egipskimi uczestnikami ekspedycji archeologicznej. Kair 1984 r.

Archiwum Jubilatki

kroki, wiele się zmieniło. Wówczas było nas mało, a było tyle do zrobienia, tyle istniało zagrożeń dla obiektów zabytkowych w zestawieniu z gwałtowną odbudową kraju. Z drugiej strony chyba było więcej możliwości realizowania odkrywczych pasji. Obecnie lepiej już znamy swoją odległą przeszłość, a i chętnych do studiów jest bardzo wielu, przy kurczącej się liczbie sponsorów badań. Obecnie, w moim przypadku, w XXI w. chciałoby się sięgać szerzej, wyjaśniać tajemnice w skali makro. Zawsze podziwiałam nauki drążące prapoczątki różnych zjawisk, ze swobodnym hasaniem po kosmosie i po niewyobrażalnej skali lat, z kurczącym się rozmiarowo i znaczeniowo naszym globem. Najbardziej imponuje mi astronomia (Wielki Zderzacz Hadronów – czy to nie brzmi tajemniczo?), ze swym ogromem zadań badawczych, choć wiem, że nie miałabym szans, aby się z nią zmierzyć. Ale pomarzyć można.

ZS: Twoje wypowiedzi odzwierciedlają życzliwy stosunek do ludzi przez których jesteś wysoko ceniona i szczerze lubiana. Tobie zawdzięczam pozostanie w archeologii: skłoniłaś prof. Zdzisława Rajewskiego do zatrudnienia mnie w Państwowym Muzeum Archeologicznym, kiedy prof. S. Krukowski powtórnie wyrzucił mnie z pracy na skutek mojej wrodzonej krnąbrności. Ubolewam nad tym, że zbyt rzadko referowałaś swoje cenne dokonania jako przedstawicielka polskiej archeologii na konferencjach międzynarodowych. Dziękuję, że pokonując właściwą Ci skromność oraz niechęć do autoprezentacji przekazałaś nam swoje wspomnienia i refleksje na temat naszej dyscypliny z okresu obejmującego ponad pół wieku, choć jest to ułamek trwania epoki kamienia, do której badania wniosłaś wiele w skali polskiej i światowej.